



Kindergarten Kanzelpass

KONIEC RZĄDÓW MAŁEGO OFICERA

RUMBURAK JOKERMAN

17 listopada 1943

Chmura gazowa nie odpuszcza. Drugi dzień z rzędu poruszamy się między budynkami tylko wtedy, gdy naprawdę musimy. Twarze osłonięte szmatami nasączonymi czym się dało – spirytusem, wodą, jakimiś resztkami chemikaliów z magazynu. Wyglądamy jak banda rabusiów z kiepskiego westernu. Tyle że tutaj nie chodzi o złoto, tylko o oddech.

Dwójka z ocalonych lotników zdecydowała się do nas dołączyć. Minhoon „Mini” Kang i Kyle Milligan. Czy Kanzelpass jest takim rajem, że zostali? Nie. Tylko idiota ruszyłby teraz w drogę przy ciągłych atakach chemicznych. Jeszcze więksi idioci tutaj zostali.

Mini wychował się w powietrzu. Dziadek latał. Ojciec latał. Najpierw w czasie wojny, potem jako pilot cywilny. On też chciał. Ale państwowy beton uznał, że jego ambicje są mniej istotne niż regulamin. Dostał tylko licencję szybowcową. Więc latał szybowcami. W międzyczasie pracował w małym warsztacie krawieckim, przyszywając guziki i marząc o silniku pod skrzydłem.

Kiedy przyszła wojna, beton nagle zmiękł. Beton potrzebował ludzi, którzy już wiedzieli, jak trzyma się stery. Powołanie przyszło w pierwszych dniach konfliktu. Trafił do dywizjonu bombowego. Latał bombowcami nurkującymi, nękając wrogów z góry. Patrzył na świat z wysokości, a potem zrzucał na niego ogień.



Milligan to zupełnie inna historia.

Kategoria:

Kriegsdienstverweigerung.

Sarmaci mówią na takich „obdzektor”. Odmówił walki mimo powołania. Myślał, że to coś zmieni. Nie zmieniło. Wcielili go i tak, tylko że do korpusu medycznego. Wysłali na front. Nie doleciał. Transportowiec został zestrzelony.

Któregoś dnia zapytałem go wprost:

– Czemu nie chcesz walczyć?

– Bo tak postanowiłem –

odpowiedział.

– Jest wojna. Nawet do medyków strzelają. Co zrobisz, jak wpadną do lazaretu?

Rozdasz im kwiatki?

Spojrzał na mnie spokojnie.

– Liczę na to, że moi towarzysze do tego nie dopuszczą.

Tyle można było z niego wyciągnąć. Zamknięty, chłodny, jakby miał w środku coś, czego nie chce nikomu pokazywać.

Ale nie będę narzekał. Studiował medycynę. Był w trakcie specjalizacji. Miał zostać kardiologiem.

W Kanzelpass na razie serca psują się szybciej niż płuca. Może to właśnie jego specjalizacja okaże się nam najbardziej potrzebna.

20 listopada 1943

Jeszcze chwila i zamiast Grenzposten Kanzelpass będziemy mieli Kindergarten Kanzelpass. Moser też jest w ciąży. Tak. Moser. Sądziłem, że chociaż ona ma w sobie jakiś instynkt samozachowawczy, kalkulację, chłodną analizę ryzyka. Najwyraźniej kalkulacja przegrała z biologią.

Ja rozumiem. Każdy ma potrzeby. Ale trzeba uważać. Wojna to nie jest miejsce na robienie dzieci. Zwłaszcza w jednostce, która co kilka dni dostaje artylerią albo gazem po twarzy.

Mimo ciągłych ataków chemicznych zaczęliśmy remont kuchni. Trzeba żyć. Nawet jak oddycha się przez mokrą szmatę. Zamontowaliśmy normalne lampy. W spiżarni stanęły chłodziarki. Światło, chłód, porządek. Odrobina cywilizacji w środku chaosu.

Wczoraj Quint oznajmił z miną inżyniera, który właśnie dokonał rozszczepienia atomów:

– Naprawiłem radio. Niestety... bez anteny nie będzie zasięgu. Większość czasu tylko szum. Rano złapałem jakiś kiepski meldunek o sarmackim transporcie.

Nadzieja była krótka. Myśleliśmy, że odzyskamy kontakt z dowództwem. Że ktoś wreszcie odpowie. Że Kanzelpass przestanie być białą plamą na mapie.



– Pal sześć radio – stwierdził Roth. – Jakby dowództwo obchodził nasz los, to już dawno by tu kogoś przysłali.

Miałem dziwne wrażenie, że ten kutas się ucieszył, że radio jednak nie działa. Ten sam, który pierwszy chciał pisać raporty i donosy. Teraz nagle brak łączności przestał mu przeszkadzać.

Vogel też to zauważyła.

– Chyba trzeba się lepiej przyjrzeć panu oficerowi – powiedziała wieczorem, leżąc obok mnie.

– Trzeba. Ale to później – odpowiedziałem i pocałowałem ją, żeby przestała analizować świat choć na chwilę.

Frau Blau jest w moim typie.

Zawsze to powtarzałem.

22 listopada 1943

Ataki chemiczne wreszcie ustały. Przetrwaliśmy. Bez trupów. Kilku ludzi narzekało na bóle głowy i zawroty, ale jeśli ktoś liczył, że wykurzy nas z Kanzelpass jak szczury z nory, to się przeliczył. Nadal tu jesteśmy. Nadal oddychamy. Może trochę głupiej niż wcześniej, ale oddychamy.

Za to zaczynamy się żreć między sobą.

Luca pobił się z Bonnetem. Poszło o żart z pastą do butów zamiast pasty do zębów. Genialne. Wojna światowa, artyleria, gaz bojowy, a my naporzamy się o czarną pianę w ustach. Obaj solidnie się poturbowali, więc skończyli na moim stole.

– Ty jesteś od leczenia! – wrzasnąłem na Lucę, kiedy podszedłem do jego łóżka. – Ty masz opatrywać rany, a nie je zadawać! Za mało ci strzelania do wrogów?!

Nie odpowiedział. Tylko się uśmiechnął. Zęby miał całe czarne od pasty do butów. Wyglądał jak ofiara pijanego stomatologa.

Zastanawiam się, co będzie następnym razem. Może ktoś przestawi mu łóżko o pół metra i wtedy poleje się krew? Wystarczy iskra. Wystarczy jeden głupi żart.



Morale znowu siada. Z zewnątrz śmiechy, docinki, głupie kawały. W środku – pęknięcia. *Frau Blau* prawie się do mnie nie odzywa.

– Mógłbyś wrócić na jakiś czas do baraku? – rzuciła rano, jakby mówiła o pogodzie. I poszła do magazynu.

Nie było w tym gniewu. Było zmęczenie... i chyba strach. To chyba gorsze.

Dzisiaj o mały włos nie doszło do linczu na Rocie.

– Po cholere wam ta antena?! – ryknął na placu.

Przed nim stali Quint, Selma i Moser. Milligan coś mierzył przy konstrukcji.

– R-A-D-I-O – przeliterowała Moser. – Mówi ci to coś? Taka rzecz do zgłaszania donosów.

Roth aż poczerwieniał.

– Dowództwo ma nas w poważaniu!

– No to przestanie mieć – odparł Quint spokojnie.

– Ja na żadną antenę pozwolenia nie wydaję! Macie parcie na budowanie? Wyremontujecie kibel. To jest rozkaz!

Moser podeszła do niego powoli. W rękę trzymała karabin. Znając ją – załadowany.

– W dupę sobie wsadź te swoje rozkazy – powiedziała. Nie krzyczała już. Co brzmiało jeszcze groźniej z jej strony.



Roth rozejrzał się. Na placu stało coraz więcej ludzi. Nikt nie stanął po jego stronie. Nawet powietrze jakby było przeciwko niemu.

Odszedł. Wściekły. Ale cicho. W normalnych warunkach pewnie powiedziałby coś na temat raportu do sztabu. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj nie mógł nam dać przecież argumentu za budową tej cholernej anteny.

I może pierwszy raz w życiu zrozumiał, że regulamin nie chroni go przed konsekwencjami głupich decyzji.

Po południu nad przełęczą pojawił się samolot. Krążył nisko, potem zszedł jeszcze niżej. Lądowanie było... nazwijmy to umiarkowanie udane. Maszyna rozorała kawał ziemi, skrzydło poszło w drzazgi, ale załoga przeżyła. Poobijani, zakrwawieni, w szoku – ale żywi.

Zaoferowaliśmy im nasz szpital.

Bo choć potrafimy się tłuc między sobą o pastę do butów, to nadal jesteśmy lekarzami, sanitariuszami i żołnierzami. Jeszcze.

26 listopada 1943

Zaczęliśmy remont szpitala. Hay zerwał starą podłogę i położył nową. Kamień był solidny, ale stal z domieszką srebra wygląda jak coś, co przetrwa nie tylko wojnę, ale i nasze głupie decyzje. Lazaret zaczyna przypominać miejsce leczenia, a nie stodołę z ambicjami.

Tak bardzo się spodobał jednemu z pasażerów rozbitego samolotu, że postanowił z nami zostać. David Weisman.

I tu zaczyna się ciekawie.

Roth ma konkurencję. I to nie byle jaką. Nie kolejnego regulaminowego lizusa. Mamy byłego oficera. Byłego oficera *Edelweiss Luftstreitkräfte. Feldwebla*. Prawdziwy stopień, nie wydmuszkę. Plutonowy Wilhelm Roth może sobie teraz wsadzić swój tytuł tam, gdzie zazwyczaj trzyma rozum i godność.

David służył od dwunastego roku życia. *Kadettenschule*, korpus kadetów, szkoła lotnicza. Wojna była dla niego naturalnym środowiskiem, jak dla innych dom czy warsztat. Cztery lata temu pokłócił się z dowódcą. Odszedł. I skończył jako bezdomny.

W samolocie znalazł się przypadkiem. Lecieli nim dezercerzy. Ukradli maszynę, ale potrzebowali kogoś, kto naprawdę umie latać. Kraść to jedno. Wylądować – drugie. David poleciał za piętnaście tysięcy klubeków.

– Ja tylko pilotowałem – powiedział z tym swoim lekkim uśmiechem.

Za takie pieniądze i ja bym pilotował. To pięć lat mojej roboty przy zszywaniu cudzych jelit.

Problem pojawił się przy opatrunkach.

– Od dawna bierzesz? – zapytał Booth, kiedy zmieniał mu bandaż.

– Niby co? – David próbował grać zdziwionego.

– Nie wiem co. Ale twoje źrenice i ślady po igłach mówią jedno. *Aufwachen, M-Schaft*, jakieś novum?

Uśmiech zniknął.

– *M-Schaft*. Drugi rok. Ćpunów nie biorą do wojska.

Czyli zdezerterował. Tylko „legalnie”. Najpierw wyrzucił go system, potem on wypłuł system z siebie.

Mylene skończyła szesnaście lat. A wydaje się, że dopiero co przytaszczyliśmy ją tu z karabinem większym od niej. Dorasta. I to szybciej, niż powinna.

– Spokojnie. Nie ma tu nikogo interesującego – rzuciła do Vogel, kiedy ta tłumaczyła jej „te sprawy”.

Spokojnie. Każda tak mówi. A potem przychodzi Orina i ze zdziwieniem informuje, że miesięczka się spóźnia. Tak, Orina też jest w ciąży.

Kindergarten Kanzelpass zaczyna brzmieć jak nazwa oficjalna.



Przez kilka dni było względnie cicho. Aż Voxland postanowił przypomnieć o sobie. Miał być spektakularny zrzut. Wyszła groteska. Spadochrony chyba szyli w pośpiechu, bo połowa spadochroniarzy rozbiła się o ziemię jak worki z ziemniakami.

– Tym lepiej dla nas – stwierdziła Moser, przeładowując karabin.

Reszta nie stanowiła większego problemu. Dwie

godziny i po wszystkim. Cele wypełnione. My – medycy – przy stołach do świtu.

Najgorsze w tym wszystkim? Vogel nadal mnie unika.

Nie asystowała mi przy rannych. Nie patrzy w oczy. Odpowiada krótko. Chłodno. Jakbym był obcym.

Nie wiem dlaczego.

Nie mam poczucia, że zrobiłem coś złego. Mieliśmy noc, jakiej się nie zapomina. Obudziliśmy się razem. Był pocałunek. Był prysznic. Ja poszedłem do lazaretu. Ona się spóźniła. Od tamtej pory dystans.

A potem to pytanie:

– Mógłbyś spać gdzie indziej?

Jeszcze na wieczór się okazało, że Selma też jest w ciąży.

Jak wreszcie postawimy antenę, moją pierwszą depezą będzie wniosek o zmianę przeznaczenia posterunku na oddział położniczy. Z dopiskiem: „proszę o przysłanie przynajmniej jednego rozsądnego człowieka – STOP – może być sparaliżowany”.

1 grudnia 1943

Wyjątkowo za mój śmieszny pamiętnik wziąłem się z rana. Wczoraj nie było kiedy tego zrobić, a jak zostawię to do wieczora, to zapomnę połowę rzeczy. Ostatnie dni były tak gęste od wydarzeń, że aż trudno uwierzyć, że zaczęły się od ciszy.

Bo naprawdę – wydawało się, że to będą spokojne dni. Zero ataków. Zero spadających samolotów. Żadnych bombardowań, żadnych ostrzałów artyleryjskich. Ani jednej zielonkawej chmury sunącej między barakami. Święty spokój. Taki aż podejrzany.

Uratowani dezenterzy ruszyli dalej. Do Sławonii. Patrzyłem, jak znikają między skałami i zastanawiałem się, czy naprawdę wierzą, że gdzieś istnieje jeszcze kawałek świata, który tej wojny nie dotknął. Ciekawe, czy tam znajdą ucieczkę przed wojną. Wątpię. Pewnie wpadną w ręce Sarmatów. Albo Voxlandczyków. Albo Kolektywu. Albo tych ostatnich dwóch żyjących Lumeryjczyków szukających Złotej Wolności.

Jeńców też wypuściliśmy. Podleczeni na tyle, na ile to było możliwe. Złamane kości poskładane, rany zszyte, gorączki zbite. Jak dotrą do cywilizacji, to będą uratowani. Jeśli nie... cóż. My zrobiliśmy, ile mogliśmy. Reszta to już los. A los w tej wojnie ma wyjątkowo parszywe poczucie humoru.

Budowa anteny była zupełnie inną historią. Wydawało się, że postawić ją to będzie dzień, góra dwa roboty. W praktyce – tydzień harówki przy zaangażowaniu połowy załogi. Bez dźwigów. Bez porządnych narzędzi. Rusztowania skrzypiały jakby miały się zaraz rozpaść, a Hay kłął pod nosem przy każdym źle spasowanym elemencie.

Skończyliśmy przedwczoraj. I wraz z tym skończyła się sielanka.

Późnym wieczorem udało nam się podłączyć wszystko. Quint odnalazł książkę kodów i pasmo awaryjne Kotliny. Siedzieliśmy w pokoju radiowym jak banda dzieci, które właśnie uruchomiły pierwszy odbiornik. Wziąłem mikrofon. Serce waliło mi jak przed pierwszą operacją.

– *Zentrale*, tutaj Kanzelpass. Jak mnie słyszysz? *Ende*.

Cisza.



Spojrzałem na Quinta. Ten wzruszył ramionami.

Minuta później w głośniku coś zatrzeszczało.

– Powtórz. Chyba macie jakieś zakłócenia. *Ende*.

Odchrząknąłem.

– *Zentrale*, tutaj *Grenzposten Kanzelpass*. Nadaje *Sanitätssoldat* Lukas Stein. Udało nam się naprawić radio i odzyskaliśmy łączność. *Ende*.

Znowu cisza.

Jedna minuta. Druga. Trzecia. Czwarta.

Zacząłem się zastanawiać, czy nie nadajemy w próżnię. Czy może częstotliwości są nieaktualne. Czy może sztab już nie istnieje.

I wtedy usłyszeliśmy nowy głos.

– *Ohne Scheiß!* Jak to *Kanzelpass*?!

Po dziesięciu minutach rozmowy wyszliśmy z pokoju radiowego. Ja blady jak ściana. Quint zmieszany. Moser wściekła do granic.

– Zabiję skurwysyna – wycedziła przez zęby. – Gołymi rękoma.

– Spokojnie – powiedziałem. – Najpierw trzeba powiedzieć innym. Potem zdecydujemy, co dalej.

Zwołaliśmy zebranie w messie. Prawie wszystkich. Rotha oczywiście nie było.

– Mam dla was dwie wiadomości – zaczęła Moser. – Dobrą i złą. Dobra jest taka, że straciliśmy status dezertarów. Zła jest taka, że dostaliśmy go przez Rotha i Falka.

Atmosfera zagęściła się momentalnie. Zwłaszcza, jak zacząłem opowiadać czego się dowiedzieliśmy.

Kanzelpass oficjalnie przestało istnieć w dniu mojego przybycia. Dowództwo wydało rozkaz wycofania trzy miesiące temu.

– Tutaj *Oberstleutnant* Haneke. Przecież kazaliśmy wam się wycofać trzy miesiące temu! – brzmiał jego głos w radiu.

Roth i Falk odebrali ten rozkaz. I ukryli to przed nami. Czy przed Weissem też? Nie mam pewności, ale pewnie tak.

Dlatego Roth tak panikował przy odbudowie radia. Dlatego Falk, specjalista od łączności, trzymał się z dala od całego projektu. Sztab uznał nas za dezertersów. Nie zgłosiliśmy się do nowej jednostki. Nie odpowiadaliśmy na wezwania.

– No dobra, ale czemu nikt po prostu nie sprawdził, czy wciąż tu jesteśmy? – zapytał Keller.

– Ofensywa Voxlandu – odpowiedziałem. – Jesteśmy odcięci od początku. Z jednej strony Voxlandczycy, z drugiej Sarmaci.

Haneke był autentycznie zaskoczony, że wytrzymaaliśmy trzy miesiące w tym kotle. Nieco zaniepokoił go fakt, że rekrutowaliśmy kogo popadnie. O ciężarach woleliśmy nie wspominać. Sprawę Rotha i Falka kazał rozstrzygnąć nam we własnym zakresie:

– Daję wam wolną rękę. Tylko nie przeginajcie. Nie chcę potem czytać raportów o łamaniu kołem i gotowaniu w smole.

Fuchs, Bonnet, Luca i Hay przyprowadzili dwójkę winowajców. W samych majtkach. Ze związanymi rękoma.

Falk wyglądał jak zbity pies. Roth udawał niewzruszonego, ale oczy latały mu nerwowo po sali.

– Wiecie, po co was tu ściągaliśmy – zaczęła Sela.

– Radio zadziało – odpowiedział Falk.

– No więc... CO WAM KURWA STRZELIŁO DO ŁBA?! – jej ton zmienił się w sekundę.

Roth milczał.

Falk nie. Może gryzło go sumienie. Może chciał ugrać łagodniejszy wyrok.

Powód? Sława. Roth marzył o medalach. O tym, że powstrzyma kilka ataków, potem wycofa się jak bohater i zostanie zapamiętany jako obrońca przełęcz. Nie przewidział tylko, że Voxland odetnie drogę odwrotu. Tak o tym też wiedział.

Od tej karawany z Wandystanu. Tego nam też nie powiedział.

Obaj trafili do celi.



Dyskusja była brutalna.

– Ja bym Falka oszczędziła – powiedziała Rolfine. – Jest debilem, ale przydatnym.

– To teraz będziemy karać według zasług? – oburzył się Booth. – Zabiłeś, ale umiesz gotować, więc wolno?

– No dobra, ale dziewczyny ucierpią... – odezwała się Vogel. Pierwszy raz od dni.

Alissa wstała.

– Jak coś mu zrobicie, ja tu nie zostanę!

– O ta, to może każdy, kto się ożeni, dostanie immunitet? – prychnął Weisman. – Która chętna?



W końcu Fuchs uciął dyskusję.

– Ta rozmowa jest jałowa. Idźcie spać. Ochłońcie.

Rozeszliśmy się.

Poszedłem do celi. Falk siedział załamany. Roth wyglądał jakby jego umysł odleciał gdzieś daleko. Może dopiero teraz dotarło do niego, że nikt nie boi się jego stopnia.

Rano przy swoim biurku znalazłem karteczkę. „Przyjdź wieczorem. *Frau Blau*”

Po kolacji zapukałem do sypialni Vogel.

– Wejdz – usłyszałem jej cichy głos.

Siedziała na łóżku, tak jak zawsze. Ale tym razem z głową opuszczoną na dół.
Zapłakana.

– Co się dzieje? – spytałem.

Długo milczała.

– *Die Menses* się spóźnia. Prawie dwa tygodnie.

I w tej jednej chwili wszystkie moje wcześniejsze kazania o rozsądku i „wojna to nie miejsce na dzieci” wróciły jak bumerang.

Przytuliłem ją.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

To było szczere z mojej strony. Sam się zdziwiłem swoją odpowiedzią.

Anna jednak nie wyglądała na szczęśliwą.

– To nie pora na dzieci, Lukas. Sam dobrze o tym wiesz.

Wiem.

Ale może właśnie dlatego, że to nie pora, to jest coś, co warto ocalić.

Może Kanzelpass przestanie być tylko przełęczą pełną trupów i stanie się miejscem, z którego ktoś kiedyś wyjdzie żywy. I nie z karabinem w ręku. Może zaczniemy dawać życie, zamiast je ciągle odbierać.

Usnęła z głową opartą na moich kolanach.

